

JÓZEF LASOŃ.

DZIWA...

(Z cyklu: LEGIONY).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Kompanijne nazwisko jego brzmiało: „Geolog”. Był wybitną jednostką w III-cim batalionie II gim pułku II ej brygady. Nie mogę jednak rzec śmiało, że każdy z żołnierzy i oficerów sylwetkę tą znał, gdyż mimo, że się nieraz w jednej kompanii służy, nie wszyscy mają czas zawrzeć znajomość.

Tak też miał nazwiska, zawód jego stał się jego nazwiskiem i pod tem mianem pozostał aż do ostatnich chwil.

Więc proszę sobie wyobrazić człowieka, któremu skóra przylgnęła do ciała, jak tapeta do ściany, lata pracy i studyowania przyrody wyniosła przygarbiły postać, rzekłbym, stosownie do zawodu nagięły, początkową literę „G” zawodu z postaci uczyniły. Twarz pociągła, zasuszona, jakgdyby roślina w teczce przyrodnika, zwichrzone zawsze włosy, wystające kości policzkowe, nieodłączone okulary, które przy każdym schwytniu owada, lub egzotycznej jakiejś roślince ustępowały miejsca grubej soczewce, oprawnej w srebrną klamrę, z rączką z kości słoniowej. Oczy niebieskawe, energiczne biegające na wszystkie strony, dziwnie się odbijały od powolnych, flegmatycznych ruchów ciała wiecznie przygarbionego.

Otóż proszę sobie wyobrazić postać taką, ubraną w siwy mundur Legionisty, który jak wór okrywał geologa, z torustrem na plecach ciężko wyładowanym, z karabinem w dłoni, no i z tęczką na rośliny pod pachą i pudełeczkiem na owady i motyle...

Więc zacny geolog, gdzieś w Szwajcaryi za ćmami goniąc, zaskoczony został wojna, i jak go wojna zaskoczyła, tak ruszył w szeregi Legionu i z plutonem szwajcarskim przybył roku zeszłego do Krakowa, a następnie z I. brygadą ruszył na polskie boje.

Więc prócz potrzebnych żołnierzowi przyborów, o które zresztą mało dbał, gdyż miesiącami butów nie potrzebował czyścić i zmieniać bielezny, wypakował plecak przyborami przyrodnika i botanika, wielką skórzaną tęczkę napełnił bibułą i papierem i poszedł walczyć i kształcić się w dalszym ciągu.

Żołnierzem był wcale dobrym. Jeśli miał jakie zmartwienie, to to, że zima nadchodzi, ćmów, motyli, robaków i roślin nie będzie, stanie więc na martwym punkcie swojej naukowej pracy.

Rozkaz każdy starał się i wypełniał sumiennie, z taką flegmą, jakby chodziło o zbadanie danej rośliny, idąc na służbę patrolową lub wywiadowczą, starał się zawsze jak najlepiej powierzone zadanie wykonać, zbadać...

W chwili wkroczenia Legionu na Podkarpacie węgierskie, gdy rozpoczęły się długie, uciążliwe marsze, geolog rozpięwał się z radości, gdyż miejscami znajdował ciekawe okazy roślin, które skwapliwie konserwował.

W zacnem tym dziele pomagać mu zaczęli, więcej ze swawoli, niż aby się przysłużyć, koledzy broni, znosząc, co tylko w drodze im wpadło w ręce. Początkowo objaśniał, że jest to taka lub owaka odmiana, lecz wkońcu połapał się na figlach kolegów, którzy stosami zaczęli znosić rozmaite ziela, owady i trudzić go natarczywemi pytaniami.

W marszu odpoczynek pod lasem. Już zapowiedziano zbiórki, już plutonami przegląd, stwierdzono, że geolog znikł. Dopiero po lesie patrol rozesłano, która sprowadziła obwinionego z pakiem roślin pod pachą.

Nic dla niego, że Moskale na karku siedzą, że trzeba skupić energię i wolę w sobie, on najspokojniej roślinki w tęczkę układa, a gdy zagrzmi głos komendy, chwytając za karabin i strzela.

Niedbały był strasznie, rzekłbym niechluj, nie też dziwnego, że robactwo zagrzeździło się nie tylko w pudełeczku na owady, ale i w białźnie. Kapitan Dziekanowski, podówczas komendant tejże kompanii, nieraz zwracał mu uwagę, ale bezskutecznie.

Więc raz raport. Przegląd żołnierzy.

Geolog w plutonie. Hiszpanka jego od nieczystości jeszcze więcej ściemniała, nieodstępna teczka pod pachą...

— Baczość! — komenderuje Dziekanowski.

Geolog wyprężył się, jednakże po chwili ręką sięga za pazuchę...

— Co jest z wami!? „Baczość!”

— Melduję posłusznie, ale mnie coś gryzie!

— Gryzie was? Ja daremnie nie będę was przy-
naglał do porządku i czystości!

Odkomenderowano czterech ludzi i ci wymyli szczerkami zacnego geologa. Zgłosił się po tej operacji uszczęśliwiony i w gorących słowach podziękował porucznikowi za kąpiel, gdyż sam nie miał czasu tem się zająć z powodu sortowania roślinek.

Na drugi raz zgubił buty, czy też gdzieś zostawił, dość, że mu dano kolosalnie długą parę lakierów, którą szewc batalionowy gdzieś zdobył. Przegląd, znowu porucznik z geologiem ma sprawę.

Stał na lewym skrzydle, gdy więc podano komendę do równania, buty geologa wystawały, rażąc linię żołnierską.

Komendant plutonu i tak i owak równa, nie może jednak dojść do ładu, bo albo nogi wystają za dużo, albo piersi geologa gdzieś ukryły się na lewym skrzydle.

— Co ja z wami mam zrobić?! — krzyknął wreszcie zniecierpliwiony, gdyż lada chwila miał pułkownik nadejść i przeglądać szeregi.

— Panie komendancie — z flegmą odparł geolog — to ja utnę trzewiki, albo zdejmę zupełnie.

Nocny alarm, zbiórka. Plutonami stoją kompanie, gotowe do wymarszu. Geolog znowu ofiarą. Nogawka jedna obcięta, owijaki nie dobrze ściśnięte na kolanie, spadają z nóg, guziki od płaszcza oberwane.

Okazało się z raportu, że geolog prędko biegł na zbiórkę i z pospiechu drzwiami od kwatery trzasnął i przyciął spodnie, a ktoś obciął nożyczkami jedną nogawkę. Geolog tego nie spostrzegł i wdział...

Ale teczka pod pachą zawsze w porządku była, o niej nigdy nie zapominał.

Koledzy jego, urwisze nielada, namówiwszy się nieraz, po kolei znosić zaczęli znalezione zbiory w olbrzymich ilościach, naturalnie bezwartościowe, a więc: kawał olbrzymiego piaskowca, gałąź dębowa lub inną i z tryumfem wręczali geologowi.

— Obywatelu! Zualazłem wielki minerał!...

— Jaki, jaki? — ciekawie pytał geolog.

— Oto jest! — to mówiąc kilkunastokilowy kamień z plecaka wydobywał i śmiejąc się podawał geologowi.

— Taż to zwyczajny piaskowiec! — z oburzeniem mówi geolog, patrząc podejrzliwie w oczy koledze.

— Tak, piaskowiec? — niewinnym głosem, tłumiąc w sobie śmiech, odpowiedział higrarz — A ja myślałem, że to, Bogu wie, co!

— Piaskowiec składa się... — rozpoczął wówczas geolog, no i półgodzinny referat wygłaszał o piaskowcu.

Najwięcej do czynienia i do irytacji miał wieczorną porą na kwaterach, gdy mu zaczęli znosić robactwo, wyciągnięte z... żołnierza. Wtenczas soczewka wędrowała z rąk do rąk, „przyrodnicy” udając zaciekawienie, roznosić się zaczęli nad poszczególną budową części ciała danego robaka i już geolog sam, nie wiedząc kiedy, wygłasza referat o zwierzątku, ku ucieście swawolnych żołnierzyków, którzy tą całą komedię potę tylko odegrali, aby naciągnąć geologa na wykład.

No i pewnego dnia, w pustynnej Besarabii, przy przedostatnich walkach, geolog dostał się do niewoli rosyjskiej. Leżąc w okopie, widocznie znalazł osobliwy jakiś gatunek rośliny, czy owada i soczewką rozpoczął badania. Nie dosłyszał komendy, zapowiadającej wycofanie się i wraz z tęczką zielnikiem, pudełkiem na owady, przeszlorocznymi zbiorami i zdobytymi okazami dostał się do niewoli.

Chyta w tak oryginalny sposób Rosyjanie nigdy dotąd nie zdobyli jeńca, zajętego badaniem roślinki, czy owada podczas gradu kul i wściekłego ataku na bagnety.

Geolog z okazami i zbiorami dostał się do niewoli, pozostała jednak sylwetka jego w duszy każdego, który go znał.

Geolog, żołnierz II ej brygady Legionu...

Chrzest ognia.

Cóż mają robić dwie bratnie dusze, spotkawszy się wzajem? Coż, jeśli nie o przebytych trudach wojennych opowiadać. Toć przecie najpiękniejsza karta życia każdego żołnierza, który wojnę przeżył zdoła.

Gdy spotkało się dwu Legionistów w chacie wiejskiej, jeden z nich, w krótkich i treściwych słowach, począł opowiadać dzieje swe żołnierskie:

— Wyruszyłem — szeptem mówił, by nie prze-
rywać snu rodzinie chłopskiej — 6. sierpnia, jako piechur, z pierwszą kompanią kadrową. Było nas 160, tylu, ilu właśnie było podchorążych w „Noc belwiderską”. Komendę kompanii objął Kasprzycki, obecnie kapitan sztabowy przy brygadzie Pidsudskiego. Dnia 8. sierpnia zajęliśmy Miechów. W monopoicie miechowskiej sformowały się ponownie kompanie i wraz z kompanią Zosika i w plutonie Tatarskiego wyruszyliśmy przez Jędrzejów na Kielce. Ludność kielecka radośnie nas przyjęła, jednakże znać było na niektórych obliczach trwogę, że taka garska żołnierza polskiego ze śpiewem przeciągała przez ulice miasta. Skierowaliśmy się ku dworcu kolejowemu, naprzeciw nas wyszedł urzędnik kolejowy, wręczając nam klucze. Po chwili z okna budynku upadł portret cara i carowej, jako znak widomy, że wojnę polski żołnierz niesie Rosyi. Zaledwie tyk herbaty niektórzy mogli wypić, gdy nagle zaalarmowano pluton i posypały się gęste strzały w ulicach miasta. Atakowano nas. Z hukiem nadciągnął automobil rosyjski, z którego posypały się kule karabinu maszynowego. Obok niego pędziła doróżka z oficerem austriackim i Legionistą. Dopiero, gdy doróżka skręciła i zboczyła poza linię ognia, sypnęliśmy salwę w stronę automobilu.

Błyskawicznie automobil zawrócił, dopadłszy do bryczki. Oficer austriacki został zabity, strzelec zaś lekko ranny. Od niego dowiedzieliśmy się, że oficer ten uwiadomił nas chciwie o kozakach będących w mieście i padł ofiarą swych obowiązków, rażony kulą moskiewską. Belina krzyknął: „Kto na ochotnika!” Sieroszewski pierwszy dał przykład, porwał za karabin i sprężyscie, z energią młodego żołnierza stanął przed Benią. Około dziesięciu ochotników i żołnierze Beniny ruszyli w ulicę, by zaatakować kozaków. Nad całością objął komendę Świętopełk i po rozrzuconiu linii tyralierskiej, oczekując większego ataku, zaczęliśmy się ostrzeliwać. Tak trwało do godziny 9 tej wieczór, a po objęciu komendy przez szefa sztabu Sosnkowskiego, cofnęliśmy się pod Karczówkę do dworku Nowaka. Jeśli co wówczas uderzyło mnie i czego do grobu zapomnieć nie zdołam, to wzrok Sosnkowskiego, w którym raz spośój stałowy się przejawiał, drugi raz ogień zapалу z oczów tych wyglądał. Na stacyi pozostał Herbin z garstką ludzi, celem obrony tejże, myśmy zaś, znudzeni całodziennym marszem, z bijącym sercem czekali na dalszy bieg wypadków. W kilka godzin później, jako ordynans Sosnkowskiego, zaniósłem rozkaz wysadzenia mostu wyznaczonym do tego żołnierzom. Wracając natrafiłem na adiutanta Felsztyńskiego, który przyszedł z zawiadomieniem, że nadchodzi pomoc konnego Sokoła ze Lwowa, pod dowództwem Sniadowskiego, dzisiejszego kapitana artylerii. Pomimo, że garstka konnicy tylko w pomoc przysięść miała, rozjaśniło się zachmurzone oblicze Sosnkowskiego. O czwartej rano zbudził nas huk wysadzonego mostu kolejowego. Rannym brzaskiem dookoła, w linii tyralierskiej, rozciągnęliśmy się, nie wiedząc, z której strony zaatakują nas Moskale. O ósmej godzinie otrzymaliśmy chrzest kul armatnich. Ostrzeliwała nas bateria z polskiego wzgórza lesistego. Przez dwie godziny zasypywano nas pociskami armatnimi, poczem dokonaliśmy odwrotu, bez straty żołnierza, odwrotu, który wybitni oficerowie austriacy uznali jako „majsterstück” wojenny. Pomimo gęstych strzałów padających, ludność tamtejsza wynosiła nam z domów wodę, mleko i chleb, nie bacząc zupełnie na huczące za nami strzały armatnie. Oto tak — kończył ułan — dostałem pierwszy chrzest ognia.

Zmęczony, ziewnął przeciągle, w słomę wkręcił się jak mysz, spychając mnie na ziemię.

— Hej, ułanie, tylko bez ataku w nocy! — roześmiałem się, usiłując zdobyć sobie pozycję na słomie. Ale ułan chrapiąc przeciągle, drwił sobie z moich wysiłków, wywijając od czasu do czasu rękami. Widocznie we śnie szarżował nieprzyjaciela.